

A w Toruniu biesy tańczą

Już od pierwszej sceny, w której Narrator, Paweł Tchórzelski i Kiriłłow, Maria Kierzkowska, dywagują na temat kategorii potencjalnych samobójców, dokonują klasyfikacji lęków powstrzymujących człowieka przed wcześniejszym opuszczeniem świata na własną rękę, choć w jego los immanentnie wpisane są ból i cierpienie; od razu przypomina nam się biografia Dostojewskiego i epikryza jaką przypisali mu lekarze. I już wiemy, że prześladowające jego bohaterów biesy, są mu dobrze znane z autopsji. Rodziły się w jego głowie i sygnowały jego twórczość. W spektaklu scenograf usytuował je wewnątrz czarnych wydrążonych niczym na Halloween dyń, które w wielu scenach wciśnięte są na głowy postaci.

Ale przez cały czas te zdematerializowane już nawet, niewidoczne biesy snują się po scenie wśród bohaterów, krzesząc siarczyście owo ich cierpienie i ból. Tu nie ma ani jednej szczęśliwej osoby. Cierpią postaci dramatu, cierpią i widzowie. Zwłaszcza, że względu na agresję sfery wizualnej; wirujących obrazów i tych kontrolnych, i tych nawiązujących do czołówki „mosfilmu” na ogromnym billboardzie telewizyjnego ekranu, symbolu szumu informacyjnego płynącego z mediów, bardzo dosłownie przytłacza myśli widza, utrudnia odbiór intelektualnych niuansów wypowiedianych przez aktorów kwestii, czy wychwytywanie zawartych w tekście odniesień do historycznych faktów, osób i filozoficznych refleksji.

Wiadomo, że sceniczna adaptacja powieści wymaga od reżysera szczególnej fantazji, by rzecz nie kojarzyła się z teatrem rapsodycznym, jak to w przeszłości, którą jeszcze pamiętam, bywało. Ruch sceniczny Szymona Dobosika i reżyseria Damiana Josefa Necia same w sobie prezentują się bardzo efektownie. Ale w sumie to wizualne szaleństwo, wibracja formy, choreograficzne zawirowania, choć wywiązują się z wyznaczonego im zadania wobec postaci, chwilami nokautują także publiczność.

Niemniej kilku aktorom udaje się spod tego natłoku formy ocalić osobowość swoich postaci i misji, jakimi obarczył je autor. Oczywiście Maria Kierzkowska jako Kiriłło w głębokim skupieniu i z emanującym z samego spojrzenia bólem, idealnie gra potencjalną samobójczynię.

Dzięki diabolicznemu emploi i pięknie dostosowanemu do roli kostiumowi, Paweł Tchórzelski jako Narrator bardzo dobrze wprowadza widza w klimat Dostojewskiego. Interesująco prezentuje się zwłaszcza Maciej Mischczak jako Nikołaj Wsiewołodowicz Stawrogin w dramatycznym monologu- spowiedzi z najstraszniejszych w jego mniemaniu zbrodni swojego życia. Doskonale partneruje on też Lizie, w scenie, w której dziewczyna z nim zrywa. Oboje, Maciej Mischczak i Joanna Rozkosz są tu niezwykle wiarygodni i przejmujący, oryginalnymi posługują się środkami.

Do ciekawych środków ucieka się też momentami, by zaznaczyć upośledzenie swojej bohaterki Matylda Podfilipska, jako niepełnosprawna Dasza, podopieczna Warwary Pietrownej Stawrogin. W scenach z władczą i energiczną Warwrą, którą znakomicie kreuje Małgorzata Abramowicz dobrze prezentuje się kontrastujący z osobowością jej bohaterki Stiepan Trofimowicz Wierchowieński - nieudacznik, symbol bierności, dekadenski niespełniony poeta, w którego wciela się Paweł Kowalski.

Dużo jest tu dobrych aktorsko epizodycznych scenek. Jako całość jednak spektakl jest dramaturgicznie niespójny i nie do końca czytelny. Treści dopowiadane, oscylujące ku współczesności, tłamszą myśli Dostojewskiego.

Zanim ktoś zdecyduje się na wizytę w teatrze, warto, by najpierw odświeżył sobie powieść Fiodora Michajłowicza.

Anita Nowak

e-teatr